



## Najciemniej pod latarnią?

Od kilku lat temat plagiatu jest coraz bardziej nagłaśniany. Niemalże kultowy już dział *Z archiwum nieuczciwości naukowej*, prowadzony przez red. Marka Wrońskiego w „Forum Akademickim”, rozpala czytelników do białości, ukazując patologie, o których się czasem filozofom nie śniło. Piętnowane są przypadki, poczynawszy od bezczelnego przepisywania cudzych prac (w tym tłumaczenia zagranicznych), przez sprytnie wplatanie zapożyczonych rozdziałów czy sekwencji zdań do swojej treści, na braku dostatecznie jasnych powołań na cudze (a czasem nawet swoje) prace skończywszy. Skutki często są takie, że w wyniku długiego i nieprzyjemnego postępowania, udaje się nieuczciwemu naukowcowi odebrać stopień (lub nawet tytuł) naukowy. Żeby nie został źle zrozumiany – całkowicie popieram takie działania.

Sięgnąłem ostatnio do swojej biblioteczki w celu odświeżenia wiedzy „podstawowej” z mojej dyscypliny (inżynierii materiałowej) i czytając niezbyt wielkich rozmiarów książeczkę (wydanie bardzo świeże), zauważyłem ze zdziwieniem, że autor nie powołał się nawet jeden raz na dane źródłowe. Zacząłem się nad tym zastanawiać i przyglądając się dokładniej książeczce, doszedłem do wniosku, że do części zawartej w niej treści faktycznie trudno by było podać źródła, nawet gdyby się chciało – ale inne, np. precyzyjnie zdefiniowane wzory czy opisywane mechanizmy pewnych reakcji – podania takich źródeł zdecydowanie by wymagały. Chcąc sprawdzić, czy to ewenement, sięgnąłem po kolejne książki i z jeszcze większym zdumieniem zobaczyłem, że przypadek nie jest odosobniony. Bardzo często na końcu znajduję się coś na kształt spisu literatury, ale pod nazwą „literatura uzupełniająca” – co sugerowałoby, że czytelnik może tam znaleźć więcej, ale jednocześnie nie informuje, czy to stamtąd autor czerpał wiedzę, przygotowując swoje opracowanie. Wśród moich zbiorów znalazły się wręcz gigantyczne, ponad tysięczstronicowe tomy z setkami tabel i rysunków (choć opracowanych samodzielnie, to jednak przecież na podstawie cudzych danych), gdzie znowu autor nie ma zwyczaju wskazywania źródeł w tekście – za to z rzadka zdarzy się mu przywołać w podpisie rysunku czy tabeli samo nazwisko autora (np. „wg Kowalskiego”).

O ile w matematyce czy fizyce pewne wzory są jednoznacznie dowiedzione, w inżynierii materiałowej bardzo duża część zależności, powiedziałbym znakomita większość, jest jednak wyznaczana empirycznie – czyli z definicji z błędem. Ma zatem (choćby dla jakości lub aktualności podawanej wiedzy) wielkie znaczenie źródło,

z jakiego informacja została zaczerpnięta – o prawach „wytwórcy” tej wiedzy nie wspominając. Nie można zatem, moim zdaniem, tej wiedzy podawać jako wiedzy objawionej – która spadła z kosmosu, a autor (choćby najwybitniejszy) poznał ją w nieznanych okolicznościach, a następnie wspaniałomyślnie postanowił się nią podzielić z czytelnikami.

I tu przyszło mi do głowy pytanie natury filozoficznej – na które, liczę, ktoś biegły ode mnie w tej materii może będzie w stanie odpowiedzieć. Kiedy można uznać daną wiedzę za ogólnie dostępną – na tyle oczywistą, że nie należy się powoływać na „wytwórcę”? Nowocześnie byśmy powiedzieli: „wiedzę w domenie publicznej”. Nie możemy popaść przecież w skrajność i cytować dzieł Newtona, przywołując najprostsze wzory – czy powoływać się na konkretne źródła historyczne po stwierdzeniu, że Bolesław Chrobry był pierwszym królem Polski. Ale z drugiej strony chyba nikt nie powie, że dwustronicową monografię nawet najslawniejszy profesor pisze z głowy i sam jest autorem wszelkich treści w niej zawartych. Nie przywołuję autorów i tytułów książek, o których piszę, celowo, bo nie chodzi mi o personalia czy wsadzenie kija w mrowisko, chodzi o zjawisko występujące, jak miemam, we wszystkich dyscyplinach, a więc wszystkich nas dotyczące. Liczę na akademicką dyskusję bez wytykania palcami, ale na rozgrzewkę podrzucę nieco kontrowersyjną tezę.

Czy czasem nie jest tak, że inżynier piszący pracę magisterską musi przywołać źródło, bo wiadomo, że tego nie wie i skądś to spisał, a sławny profesor nie musi, bo wiadomo, że to wie? I czy faktycznie sławny profesor ma taką wiedzę, że może napisać książkę bez powoływania się na źródła, bowiem wiedza, o której pisze, jest dla niego tak oczywista? Ale czy faktycznie do wszystkiego należy podawać odwołania? Czy nie jest też tak, że standardy w tym zakresie bardzo się zmieniły w ostatnich latach i to, co dawniej było uznawane za etyczne, teraz jest piętnowane i niedopuszczalne? A może wypadałoby zrewidować lub ustalić nowe standardy w tym zakresie, a może nawet w nowych wydaniach uznanych już na rynku pozycji jednak dołożyć źródła?

Osobiście uważam, że chyba nie może być dla naukowca nic piękniejszego niż moment, w którym wytworzona przez niego wiedza stanie się na tyle oczywista, że nie będzie już cytowany – a to, co wytworzył, będzie dla wszystkich oczywiste...

Tylko jak mu wtedy uczciwie policzyć H-index i przyznać grant z NCN?

MAREK POLAŃSKI

Wojskowa Akademia Techniczna



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków